

N° 8

GRUDZIEN 1918



# SKARBIEC

Dodatek miesięczny do *Polaka*



PA P 101

:: :: SUPPLÉMENT MENSUEL :: ::  
AU JOURNAL « POLAK » N° 110  
37, AVENUE KLÉBER -- PARIS (16°)





N° 8

GRUDZIEŃ 1918

# SKARBIEC

Dodatek miesięczny do *Polaka*



:: :: SUPPLÉMENT MENSUEL :: ::  
AU JOURNAL « POLAK » N° 110  
37, AVENUE KLÉBER -- PARIS (16°)





# Polski Rok Polityczny 1918

Alleluja! Dniom boleści  
Wnet skrzydłami zaszeleści  
Anioł zwiastun dobrej wieści.  
Alleluja! Moc szatana,  
Co udawał świata pana,  
Już na ziemi pokonana.

KRASIŃSKI (*Przedświt*).

Zaniepokojeni z wiosną 1917 roku przewrotem wolnościowym w Rosji i przystąpieniem do wojny Stanów Zjednoczonych, potrafil Niemcy, przy pomocy lewego skrzydła socjalistów rosyjskich, t. zw. bolszewików, w przeciągu kilku miesięcy intrygą, podstępem, przekupstwem dokonać tego, co im się nie udało przedtem z bronią w ręku : zniszczyli doszczętnie armję rosyjską, być może nieświecnie zorganizowaną, niedostatecznie uzbrojoną, ale groźną w każdym razie samą swą liczebnością.

Mogli teraz, zimą 1917-1918 roku, zabrać się do urzeczywistnienia Bismarkowskiego pomysłu rozbitcia jednośc Rosji przez utworzenie z południowych gubernij carskiego niegdys imperjum nowego państwa : Ukrainy. Rzecz poszła gładko : w mgnieniu oka, z pomocą agentów austro-niemieckich, ukonstytuowała się Rada, która proklamowała zupełnie od Rosji niezależną ludową republikę ukraińską. Z tym to nowotworem państwowym zawarły mocarstwa centralne, dnia 9 lutego 1918 roku, osławiony pokój brzesko-litewski, mocą którego, na wyraźne życzenie Niemiec,

przyznano Ukrainie część Królestwa Kongresowego, a mianowicie męczeńską Chełmszczyznę i Podlasie; Austro-Węgry zaś, w dodatkowym tajnym układzie, zobowiązały się wobec Ukraińców przeprowadzić, najdalej po dzień 31 lipca 1918 r., podział Galicji na dwa osobne kraje koronne: polski i ruski. Wzamian za te korzyści podejmowała się Ukraina dostarczyć mocarstwom centralnym znacznych zapasów żywności, przede wszystkim zboża. W ten sposób za jednym zamachem podrywano u podstaw potęgę Rosji, odbierając jej najurodzajniejsze prowincje i dostęp do Morza Czarnego, zabezpieczano sobie nowego sprzymierzeńca w walce z polskością, w pierwszej linii jednak obietnicą chleba i uludą pokoju, zawartego bodaj na części jednego frontu, umożliwiano sobie opanowanie fermentu w szerokich masach ludowych Niemiec, a zwłaszcza Austro-Węgier, wywołanego głodem, zmęczeniem, a wreszcie ponawianą parokrotnie zapowiedzią Stanów Zjednoczonych, że doprowadzą do stanowczego zwycięstwa Koalicji, które im pozwoli narzucić przeciwnikom pokój oparty na 14-tu punktach orędzia prezydenta Wilsona z d. 8 stycznia 1918 r.

Krzyk oburzenia rozległ się po całej Polsce na wieść o układzie brzesko-litewskim. Szczególnie czuli się dotkniętymi « aktywiści » polscy, którzy wbrew opinii ogromnej większości narodu usiłowali oprzeć przyszłość państwa polskiego na zbliżeniu do Austro-Węgier i Niemiec. Premier Kucharzewski, który miesiąc temu nasłuchał się w Wiedniu i w Berlinie zapewnień życzliwości i mniej lub więcej określonych obietnic, nawet w delikatnej sprawie dopuszczenia reprezentantów rządu warszawskiego do pertraktacyj pokojowych w



Brześciu Litewskim, — podał się bezwzględnie do dymisji. Rada Regencyjna ogłosiła uroczysty protest : — inaczej sobie podczas niedawnej podróży hołdowniczej nad Dunaj i Sprewę wyobrażała « współdziałanie z mocarstwami centralnymi dla sprawy pokoju i dobra ludzkości ». Hr. Szeptycki zażądał zwolnienia go z obowiązków generał-gubernatora lubelskiego. Dnia 15 lutego rozwiązało się Stronnictwo Pracy Narodowej, galicyjska organizacja « aktywistyczna », założona przed paru tygodniami w celu popierania austro-polskiego rozwiązania, t. j. programu połączenia Galicji z Królestwem pod berłem cesarza austriackiego. W kraju wrzało. W Królestwie władze okupacyjne zakazały demonstracyj, mimo to odbyły się pochody z udziałem tłumów ludu w Lublinie, w Chełmie. Poznań wyległ na ulicę dnia 22 lutego, by potwierdzić swą solidarność z resztą Polski w tym bolesnym momencie, a 28 lutego wszystkie organizacje narodowe zaboru pruskiego ogłosiły wspólną odezwę protestującą. Najszerszy zakres przybrały manifestacje w Galicji, choć wiadomość o zamierzonym podziale kraju nie przedostała się jeszcze do publicznej wiadomości. Demonstrowały miasta i miasteczka; w Krakowie wybuch oburzenia był tak żywiołowy, że władze austriackie widziały się zmuszone opuścić miasto na kilka dni, pozostawiając rządy w ręku Komitetu Obywatelskiego. Punktem kulminacyjnym manifestacji był strejk narodowy dnia 18 lutego : w dniu tym od 9-tej rano zupełnie zamarło życie powszednie; świętowały biura, urzędy, warsztaty, sklepy; przestały funkcjonować telegrafy, telefony, poczta; dzięki niezwykle sprężystej organizacji kolejarzy polskich stanęły o



oznaczonej godzinie w całym kraju wszystkie pociągi cywilne czy wojskowe, nawet transporty wojsk niemieckich, bez względu na to gdzie się znajdowały, w mieście, czy w szczerem polu. Krwawo zaprotestowały przeciw wiarołomstwu Austrii Legjony galicyjskie, przedzierając się nocą z dnia 15-go na 16-ty lutego przez front bukowiński, aby pod wodzą pułkownika Hallera połączyć się z polskimi korpusami po stronie rosyjskiej, a społeczeństwo całe czyn ten zaaprobowano, otaczając troskliwą opieką tych legjonistów, którym się nie udało przebić i którzy, pod zarzutem dezercji i zdrady stanu, zostali internowani w Huszt, na Węgrzech.

Dnia 19 lutego, w odpowiedzi niejako na uroczysty protest przeciw traktatowi brzesko-litewskiemu, ogłoszony dnia 12 lutego przez Polski Komitet Narodowy w Paryżu, angielskie ministerstwo spraw zagranicznych uwiadomiło reprezentanta Komitetu w Londynie, iż poleciło swemu delegatowi w Kijowie oświadczyć, że Wielka Brytania nie uznaje pokoju zawartego między Ukrainą a Państwami Centralnymi, przy tej sposobności zaś zaznaczyło, że rząd angielski wogóle nie uzna żadnego pokoju dotyczącego Polski, któryby został zawarty bez poprzedniego porozumienia się z Polską.

Pokój brzeski z Ukrainą został następnie uzupełniony pokojem z bolszewicką Rosją (3 marca) i pokojem z Rumunją (7 marca). Temsamem wojna na wschodnim froncie wydawała się ostatecznie skończoną, i państwa centralne mogły teraz przerzucić znaczną ilość dywizyj na inne fronty. Już też 21 marca rozpoczęła się wielka ofenzywa niemiecka we Francji. Przez




parę miesięcy wstrząsają znów światem wiadomości o nieprzemyśle posuwaniu się naprzód zastępów cesarskich ; komunikaty wojenne wymieniają coraz to nowe nazwy miast i wsi francuskich, zajmowanych przez żołdaków germańskich, aż zostaje zagrożony wreszcie sam Paryż od wielu tygodni bombardowany stale przez płatowce niemieckie i ostrzeliwany przez działa dalekonośne.

Te powodzenia orężne, następujące bezpośrednio po tryumfie dyplomacji austryjskiej nad rewolucyjną Rosją i nad pozbawioną wszelkiej pomocy sojuszniczej Rumunją rozpały do białości arogancję i ambicje wszechniemieckie. Zdawało się mężom stanu sprzymierzonych cesarzy, że nadeszła nareszcie chwila zrealizowania idei « Europy Środkowej ».

Zaczęto od zacieśnienia związku między Austro-Węgrami a Rzeszą niemiecką (12 maja), poczem przystąpiono do układów mających ustalić ekonomiczne podstawy przyszłej unji środkowo-europejskiej.

Licznych w Austrii przeciwników tego programu zobowiązał się zgnieść rząd dra Seidlera : Czechów zaszachowano podziałem ich kraju na część czeską i część niemiecką, przeciwko Jugosłowianom zastosowano surowe represje ; do przegłosowania w parlamencie antyniemieckiej opozycji mieli posłużyć Polacy.

Wiedeńskie Koło Polskie tyle wykazało w różnych okazjach oportunistów, że spodziewano się, iż i tym razem « papką, czapką i solą » uda się nakłonić je do utworzenia niemiecko-polskiej większości parlamentarnej, popierającej rząd dra Seidlera. Przecież to ono uratowało rząd ten równo w miesiąc po podpisaniu

 pokoju z Ukrainą, wstrzymując się dnia 9 marca od głosowania nad budżetem zamiast głosować przeciw, a uczyniło to ulegając szantażowi, biorąc za dobrą monetę zapewnienia, że rozgraniczenie terytorjum polsko-ukraińskiego, przewidziane traktatem brzeskim, nie jest definitywne i że krzywda, wyrządzona narodowi polskiemu, dałaby się może odrobić przy życzliwym poparciu państw centralnych. Przytem nowy premier warszawski, Galicjanin, dr. Steczkowski, mianowany dnia 10 kwietnia, w układach z rządem berlińskim, które poprzedziły jego przyście do władzy, podjął się nietylko doprowadzić do zawarcia formalnego przymierza między Polską a Niemcami i monarchją habsburską, lecz przyrzekł także użyć całego wpływu « aktywistycznych » kół warszawskich, aby skłonić polską reprezentację w Wiedniu do utworzenia bloku ze stronnictwami niemieckimi.

Rachuby te zawiodły: politycy « aktywistyczni » rozwinęli wprawdzie gorączkową działalność, nie zrażając się niczem: ani coraz to częściej powtarzającą się pogłoską o zamiarze Niemiec « sprostowania » granicy polsko-pruskiej, to znaczy poprostu przyłączenia części Królestwa do Prus; ani opublikowanym dnia 12 maja tajnym układem bolszewicko-niemieckim, przyznającym rosyjskiej republice sowieków nieograniczone prawo agitacji maksymalistycznej w Polsce, wzamian za uznanie Polski za wyłączną sterę wpływów politycznych niemieckich; ani wreszcie tragedją polskich korpusów Muśnickiego i Michelisa, najpierw zachęcanych do poddania się Radzie Regencyjnej, potem otoczonych przez przeważające siły niemieckie, napadniętych i w większości swej rozbrojonych (bitwa



pod Kaniowem, 10 maja 1918). Naród wszakże opart się usiłowaniam nielicznych polityków zahypnotyzowanych potęgą germańską.

Stał on za tymi, co z okazji zjazdu przedstawicielei narodów podległych panowaniu Austro-Węgier, dnia 12 kwietnia, w Rzymie, przez usta członka Komitetu Narodowego Polskiego, Marjana Seydy, raz jeszcze wobec świata proklamowali żądanie Polski niepodległej, zjednoczonej i z własnym wybrzeżem morskiem, a główną przeszkodę urzeczywistnienia tego postulatu upatrywali w Prusach i ich naddunajskim sojuszniku. Kiedy w drugiej połowie maja odbywała się w Pradze uroczystość jubileuszowa narodowego teatru czeskiego i zamieniła się w dobitną manifestację solidarności słowiańskiej przeciwko niemieckiej przemocy, manifestacja ta znalazła uznanie całego społeczeństwa polskiego. Słynna deklaracja wersalską z dnia 3 czerwca, w której wszystkie państwa Koalicji uznały odbudowanie Polski niepodległej i zjednoczonej, z wolnym dostępem do morza, jako jeden z warunków trwałego i sprawiedliwego pokoju, była wśród wezbrania buty krzyżackiej, wśród powodzeń krzyżackiego oręża, upragnionem słowem otuchy dla społeczeństwa polskiego.

Ulegając ogólnemu prądowi opinii w kraju, parlamentarna komisja wiedeńskiego Koła polskiego zdecydowała się, dnia 9 czerwca, mimo osobistej interwencji premiera Steczkowskiego, zwalczać gabinet d-ra Seidlera i odmówić mu kredytów. Dr. Steczkowski usiłował powetować to niepowodzenie i umocnić swe stanowisko, zachwiane haniebnym protestem przeciw Deklaracji Wersalskiej, szukając oparcia w Radzie Stanu :

BDIC  
DLC

rzeczywiście, większość tego ciała nibyto parlamentarnego, mianowana przez Radę Regencyjną spośród osób przychylnych polityce «aktywistycznej», nie odmówiła swego zaufania prezesowi ministrów (22 czerwca 1918). Cóż, kiedy tego samego dnia podał się do dymisji gabinet dra Seidlera wobec nieprzejednanego stanowiska Koła Polskiego, które nie odważając się na zasadnicze zwalczanie Austrii samej, nie mogło jednak wybaczyć drowi Seidlerowi, że podpis jego figurował na tajnym układzie z Ukraińcami o podział Galicji, i absolutnie nic z nim więcej nie chciało mieć do czynienia. Nagła decyzja ministerjum austriackiego miała przecież jeszcze i inną przyczynę ogólniejszej natury: oto rozpoczęta dnia 15 czerwca ofenzywa austro-węgierska na froncie włoskim zakończyła się w niespełna tydzień wielką klęską nad Piawą, gdzie armja cesarsko-królewska straciła około dwustu tysięcy ludzi, a i niemiecka ofenzywa na froncie zachodnim zdawała się dobiegać końca, zanim zdołała osiągnąć decydujący rezultat.

Niemcy nie dali wszakże za wygraną. Na ich żądanie dymisja dra Seidlera nie została przyjęta. Rząd wiedeński otrzymał z Berlina stanowcze zapewnienie, że dnia 15 lipca wojska Rzeszy ponownie zaatakują armje koalicyjne i że tym razem w przeciągu niewielu dni staną w Paryżu i nad morzem, w Calais. Na dzień 16 lipca, kiedy pułki niemieckie miały wkroczyć do Reims, polecono premierowi austriackiemu zwołać parlament, który miał być natychmiast rozwiązany, gdyby się ośmielił odrzucić proponowany budżet wojenny.



Tymczasem podjęta w nocy z dnia 14-go na 15-ty lipca ofenzywa zupełnie się Niemcom nie powiodła; zamiast wkroczyć do Reims musieli się cofać. Karta dziejowa odwróciła się bezpowrotnie. Jedność dowództwa na froncie zachodnim i coraz wydatniejsza pomoc wojskowa Stanów Zjednoczonych przechyliły szalę. Generał Foch, wódz naczelny wojsk koalicyjnych, raz pochwyciwszy inicjatywę operacji, nie dawał już Niemcom wytchnienia i wypierał ich z coraz to nowych pozycji. Zaraz w pierwszych dniach tych zapasów armja generała pruskiego von Einem'a starła się z oddziałami armji polskiej, pozostającej na mocy układu z rządem francuskim (22 lutego 1918) pod władzą polityczną Komitetu Narodowego Polskiego, która zaledwie trzy tygodnie temu (22 czerwca) z rąk prezydenta Rzeczypospolitej Francuskiej Poincare'go otrzymała sztandary narodowe, ofiarowane jej przez miasta Paryż, Nancy, Belfort i Verdun, a niezadługo miała uzyskać od rządów koalicyjnych uznanie jako armja samodzielna, sojusznicza i należąca do strony wojującej.

Na pierwszą wieść o klęsce niemieckiej, dr. Seidler, nie czekając na głosowanie w parlamencie, natychmiast zarządził uwolnienia z urzędu i ustąpił miejsca drowi Hussarkowi, ostatniemu austriackiemu prezydentowi ministrów. Społeczeństwo polskie w Galicji nie dało się wszakże zmylić zmianą osoby na stanowisku naczelnika rządu austriackiego, i kiedy większość Koła Polskiego oportunistyczna, aż do ostatka wzamian za przyrzeczenie dra Hussarka, że Galicja nie będzie podzielona, umożliwiła uchwalenie ostatniego budżetu austriackiego, kraj cały zatrząsł się od oburzenia: na szeregu sejmików relacyjnych, wieców, zebrań pouf-

nych domagano się ze stanowczością zerwania z Austrią wogóle, a nie tylko z gabinetem w danej chwili nią rządzącym. Z taką samą opozycją spotkały się ostatnie podrygi « aktywizmu », usiłowania tej garści polityków, niemogących się wydostać z pod hipnozy austro-niemieckiej, którzy w ostatniej chwili jeszcze próbowali związać przyszłość Polski z losami Austro-Węgier i Niemiec, choćby drogą zamachu stanu. Nawet Rada Stanu, która przecie w większości swojej wyszła z mianowania, nie z wyborów, nie okazała się powolną wobec tych zakusów, wskutek czego po burzliwym posiedzeniu dnia 3 września została nagle odroczonej. Równocześnie ustąpił niefortunny przywódca «germano-aktywistów», p. Steczkowski, ostatecznie skomprowitowany ogłoszeniem noty poufnej, wysłanej dnia 29 kwietnia do rządu niemieckiego, w której godził się na ścisły związek ekonomiczny i konwencję wojskową Polski z Rzeszą niemiecką. Powołany jako jego następca (25 września) «austro-aktywista» Kucharzewski nie zdołał już nawet sformować gabinetu (ustąpił 9 października).

Wypadki zaczynały biec w tempie przyspieszonym. Dnia 15 września rozpoczęła się niespodziewanie ofenzywa armji koalicyjnej na froncie bałkańskim, rozwinęła się z piorunującą szybkością i w przeciągu dwutygodni zmusiła Bułgarię do zdania się na łaskę i niełaskę (29 września). Doniosłość tego wypadku podkreślił kanclerz niemiecki hr. Hertling, podając się nazajutrz do dymisji. Na pierwszym posiedzeniu nowej sesji parlamentu wiedeńskiego, otwartej 1 października, posłowie polscy, zarówno zasiadający w Kole, jak i ci, co, nie godząc się z oportunistyczną polityką

Koła, pozostali poza niem, wnieśli deklarację, domagając się natychmiastowego zawarcia pokoju na podstawie 14 punktów Wilsona i proklamującą zjednoczenie i niepodległość Polski. Dnia 4 października monarchja habsburska, nie czując się już na siłach do obrony swych południowych granic przeciw zwycięskim wojskom Koalicji, za pośrednictwem posła szwedzkiego uwiadomiła prezydenta Wilsona, że gotowa przyjąć za podstawę pokoju 14 punktów jego styczniowego orędzia. W dzień potem, za pośrednictwem posła szwajcarskiego, w ślad za swoim « świetnym sekundantem », pośpieszają cesarskie Niemcy, które tymczasem nawałt jeły się « demokratyzować », aby sobie w ten sposób umożliwić zawarcie pokoju ; mocarstwa sprzymierzone bowiem, a przede wszystkim Stany Zjednoczone, parokrotnie z całym naciskiem oświadczyły, że nie podejmą rokowań z rządem reprezentującym nie naród niemiecki, lecz pruską kastę militarną, która zawiniła wojnę. Wprowadza więc książę Maksymiljan badeński, następca hr. Hertlinga na urzędzie kanclerskim, odpowiedzialność ministrów przed parlamentem, uzależnia naczelną komendę armji od władzy kanclerza, mianuje ministrami nietylko dwu reprezentantów centrum katolickiego, ale nawet dwóch socjalistów.

Trzebaż się było spieszyć z reformami, gdyż połączenie wojskowe Niemiec w oczach się pogarszało : z dawnych wiernych sojuszników któż im pozostał ? Po Bułgarji zwała się Turcja, pobita na głowę w Syrii i odcięta zupełnie od państw centralnych znajdującem się już w mocy Koalicji terytorjum bułgarskiem. Z kolei Austro-Węgry, godząc się dnia 18 października poza 14-ma punktami Wilsona jeszcze i na dodatkowe żąda-

nie jego, by przyznać niepodległość wchodzącym w skład monarchji Czechom i Jugosłowianom, przestały istnieć, rozpadły się drogą bezkrwawej przeważnie rewolucji na republiki niemiecko-austrjacką, czesko-słowacką i węgierską, podczas gdy Śląsk cieszyński i Galicja proklamowały swą przynależność do Polski, prowincje zaś jugosłowiańskie swą jedność z Serbją i Czarnogórą, a Siedmiogród wyglądał z upragnieniem wkroczenia wojsk rumuńskich; okolice włoskie były już oswojone. Dnia 25 października przedstawiciele armji cesarsko-królewskiej podpisali warunki zawieszenia broni, równające się kapitulacji.

Dnia 9 listopada zjawiają się u generała Foch'a parlamentarzy niemieccy z prośbą o rozejm, a w dwa dni później podpisują i oni postawione im warunki. Dnia 10 listopada rozchodzi się wieść o abdykacji Wilhelma II, dnia 12-go zaś donoszą dzienniki o wybuchu rewolucji w całych Niemczech. Większość państw i państewek Rzeszy ogłasza się republikami; dynastje jedna po drugiej abdykują; do władzy dochodzą socjaliści rządowi, a skrajna lewica raz poraz ponawia wysiłki, by zaprowadzić w Niemczech rządy bolszewickie.

Tymczasem armja francuska, wykonując warunki zawieszenia broni, zajmuje Alzację i Lotaryngję; wojska belgijskie odbierają swą umęczoną ojczyznę; oddziały sprzymierzone zajmują lewobrzeżne prowincje nadreńskie i trzy przyczółki mostowe na pierwszym brzegu Renu. Dumna flota niemiecka, na której buta pruska budowała plany ujarzmienia świata, przechodzi w posiadanie Anglii i jej sprzymierzeńców.






Rozpoczynają się przygotowania do kongresu pokojowego, który na długo ustali losy państw i narodów europejskich.

A Polska? — Stała się rzecz, o której na początku wojny — ba! dwa lata temu jeszcze — zuchwałstwem, szaleństwem wydawało się pomyśleć: wszystkie trzy państwa rozbiornicze leżą w gruzach. Naród Polski zaś wychodzi z wojny sprzymierzeńcem zwycięzców, którzy jako jeden z warunków pokoju uznali odbudowanie Polski zjednoczonej, niepodległej i z wolnym dostępem do morza, Polski mocarstwowej. Ale morderczy proces zrastania się trzech dzielnic, przez lat sto pięćdziesiąt wszczepianych przemocą w obce a różne organizmy, — zaledwie się zaczyna. Kraj przeżywa chwile na wieki pamiętne otrząsania się z pod jarzma obcego i staje wobec radosnego, lecz jakże trudnego zrazu zadania stworzenia wspólnej władzy własnej. Nie są jeszcze oznaczone nowe granice Rzeczypospolitej.

Dnia 28 października w Krakowie zgromadzenie wszystkich posłów polskich z Galicji i ze Śląska Cieszyńskiego wybrało Komisję Likwidacyjną, mającą w porozumieniu z rządem warszawskim zlikwidować dotychczasowy stosunek zaboru austriackiego do Austrii. Komisja ta bezwzględnie przejęła władzę cywilną i wojskową z rąk organów byłego państwa austriackiego, zarówno w Galicji zachodniej, jak i na Śląsku cieszyńskim. Dnia 30 października generał-gubernator von Beseler złożył w ręce Rady Regencyjnej naczelne dowództwo armii polskiej. Nazajutrz austriacki generał-gubernator Liposzczak zdał rządy nad okupacją austriacką, polskiemu komisarzowi Zdanowskiemu i opuścił Lublin. W zaborze pruskim Polacy, na pier-

wszą wieść o wybuchu rewolucji w Niemczech, utworzyli Naczelną Radę Ludową i wysłali delegatów do Warszawy. Niestety, Rada Regencyjna, pragnąca za wszelką cenę utrzymać się na stanowisku powierzonym jej przez okupantów, dnia 4 listopada dała dymisję gabinetowi p. Świeżyńskiego, złożonemu z zastępców wszystkich trzech zaborów, a zmuszona w tydzień potem ustąpić sama i przekazać władzę generałowi Piłsudskiemu, utorowała drogę jednodzielnicowemu i partyjnemu rządowi p. Moraczewskiego.

Chwila jest groźna. Zwłaszcza, że wrogowie nasi w tym decydującym momencie robią rozpaczliwe wysiłki, by nie dopuścić do utworzenia Polski wielkiej i silnej. A wszystkie nici tych knozań zbiegają się w Berlinie. Z poduszczeń i z pomocą Niemców i Austriaków bandy ukraińskie dnia 1 listopada zajęły Lwów, i dopiero 22 listopada zdołano je wyprzeć ostatecznie z miasta bronionego z bohaterskim poświęceniem przez polskich mieszkańców; nie zdołano jednak oczyścić z hajdamaków całej Galicji wschodniej, z której dynastia habsburska w porozumieniu z Berlinem chciałaby zrobić zachodnio-ukraińską republikę. Bolszewicy, przeważnie żydzi, napływają do Królestwa z Rosji i z Niemiec i usiłują zaszcześcić w niem anarchję. Niemcy, którzy, czując nóż na gardle, zgodzili się na 14 punktów Wilsona, z 13-go punktu, dotyczącego Polski, bynajmniej nie wysnuwają konieczności zrzeczenia się zaboru pruskiego, twierdząc, że ziemie te nie są « bezsprzecznie » polskie; tworzą oni specjalną armję do « obrony wschodnich granic » dawnej Rzeszy niemieckiej i zapowiadają, że będą ścigać jak zdrajców stanu Polaków z



zaboru pruskiego, którzyby się ośmielili wziąć udział w wyborach do Konstytuanty polskiej w Warszawie. W prasie europejskiej i amerykańskiej rozpoczęła się przeciwko nam zajadła nagonka, podsycana ze źródeł niemieckich, a obwiniająca nas o pogromy ludności żydowskiej, aby tym sposobem zdyskredytować sprawę polską w oczach Koalicji.

Chwila jest groźna. Spodziewać się jednak należy, że zdecydowanej postawie zaboru pruskiego, który na sejmie dzielnicowym w pierwszych dniach grudnia dał potężny wyraz swym dążeniom narodowym; dobrej woli Galicji i Śląska, które gotowe są pójść ręką w rękę z Poznańskiem; usiłowaniami delegatów Komitetu Narodowego Polskiego, który wywalczył dla Polski przedstawicielstwo na kongresie pokojowym; wreszcie zdrowemu instynktowi olbrzymiej większości całego narodu uda się przemoc chwilowe trudności i u progu nowego roku doprowadzić do utworzenia rządu ogólnonarodowego i międzypartyjnego, który potrafi sprostać niezwykle wysokim wymogom dziejowego momentu.

---



Zygmunt KRASIŃSKI

Zygmunt Krasiński, największy obok Mickiewicza i Słowackiego poeta polski, gorący patriota i głęboki myśliciel, urodził się w 1812, a umarł w 1859 roku, w Paryżu. Najznakomitsze jego dzieła to : « Komedja nieboska », « Irydjon », « Przedświt » i « Psalm przyszłości ». Przytoczony poniżej urywek jednego z « Psalmów przyszłości » — « Psalmu dobrej woli », napisanego w r. 1848, a więc siedmndzięsiąt lat temu, brzmi tak, jakgdyby wieszcz w pro-roczem natknieniu był widział chwilę, którą dziś przeżywa Polska, z trudem broniąca się anarchji, zagrażającej jej od wewnątrz i od zewnątrz.

## Psalm dobrej woli

(Wyjātki)

Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie !  
 My nad otchłanią, na ciasnym przesmyku, —  
 Skrzydła nam rosna już-na zmartwychwstanie —  
 Usta rozwarte do wesela krzyku, —  
 Ku nam z błękitów — jakby z twego łona.  
 Złote jutrzeńki — jakby twe ramiona —  
 Spieszą już nadół od nieba po ziemię,  
 By zdjąć nam z czoła wiekowych klęsk brzemię.  
 Wszystko gotowe — wschód rozpromieniony —  
 Anioły patrzą — a tam z drugiej strony  
 Ciemność pod spadem bezgłębnym wybrzeża !  
 I pnie się — wzdyma — rośnie — ku nam zmierza —  
 Przepaść — śmierć wieczna — w której niema Ciebie —  
 Co od początku złych i pysznych grzebie,  
 A sama pychą, i złością, i swarem,  
 I mężobójstwem onem, jak świat starem,  
 I kłamstw i bluźnierstw rozkipionym warem !  
 I wstała siwa w pasachz czerwonoci !

W czarnych błyskawic czarnej jaśni płynie !  
 Rdzę z krwi pokoleń i gruzy i kości  
 Na swych topielach piętrzy ku wyżynie,  
 Gdzie wpół nad grobem, a wpół jeszcze w grobie  
 Stoim w tej pierwszej odrodzenia dobie !  
 Jeśli zawrotnym na nią spojrzym okiem,  
 Jeśli się jednym ku niej ruszyc krokiem,  
 Wnet zórz nam światło poblednie na skroni,  
 I Syn nad nami Twój łzy nie uroni,  
 I Duch nie będzie nam Pocieszycielem !  
 Na dnie jej sobie nicestwo pościelę !  
 Zmiłuj się, Panie ! broń nas, — bądź Ty z nami !  
 Nie ! — darmo ; — teraz tu stać musim sami !  
 Ach ! wiem ! — ta chwila już do nas należy !  
 W ostatniej losów tej-naszych przemianie  
 Żaden Twój Cherub nam w pomoc nie zbieży !  
 Wszystko nam dałeś, co dać mogłeś, Panie...

. . . . .  
 O Panie, Panie ! więc nie o nadzieję —  
 Jak kwiat się sypie ; — więc nie o zgon wrogów —  
 Zgon ich na chmurach jutrzejszych już dnieje ; —  
 Więc nie o przestęp cmentarzowych progów —  
 Przebyteć, Panie ; ani o broń władną —  
 Z wichrów nam spada ; — ni o pomoc żadną —  
 Zdarzeń otwarłeś już przed nami pole !  
 Lecz wśród tych zdarzeń straszego wybuchu  
 O czysto tylko błagamy Cię wołę  
 Wewnątrz nas samych — Ojczy, Synu, Duchu !  
 O ty najdroższy, wszędzie utajony,  
 Widny zza światów przejrzystych opony,  
 Wszech Ty przytomny, nieśmiertelny, święty,  
 W serc i gwiazd wszelkim mieszkający ruchu,



Co tak gwiazd lonty rozwiewasz na szczęty,  
Jak serc przewrotność — Ojczy, Synu, Duchu,  
Ty, coś rozkazał człowieczej iściźnie,  
By nędzna siłą i kolebką małą  
Przez moc ofiary się wyanielała, —  
I polskiej naszej rozkazał ojczyźnie,  
By wwiiodła w miłość i mir ludy bliźnie  
Niezatraconej prawości przykładem,  
Choć wciąż pod głązów grobowych opadem  
Wszystkich tych ludów otruwana jadem!  
Ty co w dziejowych odmetów rozruchu  
Wściekłych piorunem przybijasz do darni;  
A zacnych zbawiasz — bo zacni — z męczarni, —  
Błagamy Ciebie, Ojczy, Synu, Duchu,  
Z prostotą dzieciąt, w niewieściej pokorze,  
Przed Tobą dzieci i niewiasty, Boże,  
A świata mężczy; — my, co się nie boim  
Od wieków walczyć przeciw wrogom Twoim,  
Błagamy Ciebie, razem z naszą Panią,  
Co za nas Twego doprasza się słucho,  
My zawieszeni pomiędzy otchłanią  
A Twem królestwem, Ojczy, Synu, Duchu!  
Błagamy Ciebie z wrytem w ziemię czołem,  
Skronią już w wiosen Twych kapańi dmuchu,  
Czasów pryśniętych otoczeni kołem  
I państw ginących — Ojczy, Synu, Duchu!  
Błagamy Ciebie — stwórz w nas serce czyste —  
Odnów w nas zmysły — z dusz wypleń kąkole  
Złud świętokradzkich — i daj wiekuiste  
Śród dóbr Twych dobro : daj nam dobrą wolę!  
Teraz gdy rozgrzmiał się już sąd Twój w niebie  
Ponad lat zbiegłych dwoma tysiącami,  
Daj, nam, o Panie, świętymi czynami  
Śród sądu tego samych wskrzesić siebie!

---





Maurycy Mochnacki, urodzony we wsi Bojaniec w Galicji, a zmarły w roku 1835, jako trzydziestoletni młodzieniec, na emigracji w Auxerre we Francji, był znakomitym estetą, krytykiem i historykiem polskim. Prócz szeregu świetnych artykułów i rozpraw, napisał on obszerne dzieło « O literaturze polskiej w XIX wieku », niestety urwane na pierwszym tomie, oraz dwutomową historję powstania listopadowego, którego był jednym z najgorętszych uczestników zrazu jako polityk, później jako żołnierz. Z tego to dzieła p. t. « Powstanie narodu polskiego w roku 1830 i 1831 » wyjmujemy dziś — w osmdziesiątą ósmą rocznicę wybuchu rewolucji opis pierwszych jej godzin.

## Noc 29 listopada

Napad podchorążych na Belweder i na  
koszary jazdy rosyjskiej na Solcu

---

Nad wieczorem dnia 29 listopada 1830 r., gdy się zbliżała umówiona pora do działania, cywilni spiskowi, którym poruczono rozpoczęcie ruchu napadem na Belweder, szli po dwóch po trzech, różnemi drogami do lasku Łazienkowskiego, jedni z ukrytą bronią palną, drudzy bez broni, ponieważ wszyscy spodziewali się dostać karabinów ze szkoły podchorążych. Niebo było pochmurne ten cały dzień, tak że zmierzch i noc prawie bez przedziału w jeden moment przypadły. W Łazienkach po prawej i lewej stronie posągu króla Jana zejść się mieli ci waleczni młodzieńcy na pół go-

dziny przed terminem ; miało ich być wszystkich czterdziestu ; lecz różne okoliczności, jak zaraz obaczymy, więcej niżeli o połowę tę liczbę zmniejszyły. W rozległej stolicy Polski oddziały garnizonu były jedne od drugich bardzo oddalone. Za hasło do wspólnego, jednoczesnego działania, o czem wszyscy w wigilję zostali uprzedzeni, miał służyć pożar browaru na Solcu ; po tym dopiero znaku z południa, dla sprzysiężonych zalecał podpalenie dwóch drewnianych budowli w przeciwnej stronie : w bliskości koszar gwardji wołyńskiej, na Nowo-Lipiu. Tą podwójną łuną oddziały garnizonu polskiego ruszone ze wszystkich punktów, z koszar aleksandryjskich czyli mikołajowskich, sapieżyńskich i ordynackich, tudzież z kwarter w mieście i głównych wart, mogły z łatwością w jednej chwili rzucić się na nieprzygotowanego nieprzyjaciela, bądź w tych samych koszarach, bądź gdzieindziej rozbroić go i wziąć w niewolę, a potem wskazane pozajmować stanowiska. Tak chciał mieć plan przepisany dla działań tej nocy, plan dobrze pomyślany, rozważony gruntownie, i sądząc z wyższości sił naszych, łatwy do wykonania. Wszakże los psotny, który się śmieje z ludzkiej przeczności, tylko co wszystkiego na samym wstępie w niwecz nie obrócił. Czy zegar łazienkowski szedł prędzej od miejskich zegarów, czyli też dwaj podchorążowie wyprawieni do wzniesienia pożaru na Solcu zbyt skwapliwie chcieli się uiszczyć z tego obowiązku : dość że hasło do wspólnego działania i zawczasie i źle było dane, to jest chybiło w porze umówionej. Ogień na Solcu błysnął na pół godziny przed szóstą, a zgasł o szóstej. Browar, stary na wpół zbutwiały budynek, nasamprzód wcale niechciał się zapalić. Wysocki

zapóźno, bo dopiero dnia 28 listopada żądał palnych materiałów od Karola Stolzmana, porucznika artylerji, adjunkta w dyrekcji młyna prochowego. Żądał tego w niedzielę, kiedy pracownia ogniów wojennych była zamknięta, a powiniem być, jak obiecał, porozumieć się w tej mierze ze Stolzmanem na kilka dni pierwej. W braku tedy palnych materiałów, mogących ułatwić to przedsięwzięcie i skutek jego uczynić niewątpliwym, dwaj podchorążowie musieli użyć słomy. Ogień wszczynał się z wielką trudnością, i daleko pierwej nim wszyscy z oddziału belwederskiego zdążył i przybyć do Łazienek: co naturalnie zaraz ich zmieszalo, i na różne opaczne naprowadzało domysły. Nabeliak z Goszczyńskim spieszyli wtedy od głównej alei ku miejscu zgromadzenia akademików. W drodze postrzegają ten przedwczesny ogień, a w Łazienkach zastają ledwie kilkunastu z tych co mieli przybyć. W mgnieniu oka powstaje niezmierny ruch naokoło. Posyłki konne i piesze przebiegały lasek we wszystkich kierunkach, z Belwederu do koszar, z koszar do Belwederu; namnożyło się światła między drzewami, na odwachach dzwoniło, i warty występować zaczynały. Za czasów carewicza służba ogniowa była dobrze urządzona. On sam miał we zwyczaju dojeżdżać do każdego pożaru czy we dnie, czy w nocy; mógł więc i tym razem wypaść z Belwederu. Z kilkunastu przybyłych akademików ledwo kilku zostałaś śród tego zamieszania; naresze i ci się rozproszyli w różne strony, żeby nie wpaść w ręce żołnierzy i policyantów. Ten alarm trwał w Łazienkach przeszło pół godziny.

Zawczesny i słaby ogień w browarze zgaszono bez wielkiej trudności. Ta okoliczność, jakkolwiek drobna,

stawia sprzysiężenie w najprzykrzejszem położeniu, i rodzi wszystkie złe skutki, jakie koniecznie z braku jedności w działaniu na tak obszernym teatrze wyznikać musiały. Od tej chwili wszystko idzie oporem: związkowi w południowej części miasta, koło Belwederu i koszar jazdy moskiewskiej, nie mogli dać znać o sobie związkowym na tyłu innych punktach stolicy. Ci niepostrzegając sygnału z południa, rozumieli, że tam się jeszcze nie stało i nie zaczęli działać; po terminie upływało więc dużo czasu — i oto jedno nic, pochodzące z roztargnienia Wysockiego, naraża całą sprawę i przyszłość powstania.

Po chwili wszystko jednak znowu ucichło w Łazienkach. Rozsypany oddział zaczął się zgromadzać. Spiskowi, wychodząc zza drzew, pytają jeden drugiego o nazwisko, ale co dalej począć w tak szczupłej liczbie, po obudzeniu czujności nieprzyjaciela, nie wiedzą.

Z krótkiej narady, którą wtenczas odprawili między sobą, wypadło, aby Nabelak poszedł na zwiady do szkoły podchorążych — o paręset kroków od mostu Sobieskiego. Udał się on tam, ale z niczem powrócił. Wysocki bawił jeszcze w mieście; nie nadeszli i ci dwaj podchorążowie, którym browar zapalić polecono, Szkoła była zrównie jak oddział belwederski zatrwożona; najbardziej lękali się podchorążowie, aby tych podpalaczy nie schwymano. Nastąpiła tedy druga pauza, przeciągła jak wiek, pauza nieczynności i oczekiwania wśród przyspieszonego krwi obiegu. Już godzina upływała od chwili naznaczonej do rozpoczęcia ogólnego ruchu! Chybiłony sygnał który miał wzruszyć całe miasto, który miał z miasta zapewnić pomoc podchorążym, demoralizował szczególnie młodych akademi-

ków, dość odważnych żeby się rzucić pierwszym zapędem i w największe niebezpieczeństwo, lecz przy zimnej refleksji, do czego tyle czasu mieli, zaczynających już mierzyć odchłań bez gruntu, co się przed nimi rozwierała. Ta przewłoka, nastrojająca wysoką, żywą, młodocianą fantazję była bolesna. Nabelak i Goszczyński idą powtórnie do szkoły podchorążych. Naprawdę i tym razem żadnej jeszcze znikąd wiadomości. Dopiero wracając spotykają Wysockiego przybywającego z miastą w towarzystwie Szlegla, Doprowskiego, Paszkiewicza i Rottermunda. Wysocki z dwoma pierwszymi pobiegł zaraz do szkoły; Paszkiewicz i Rottermund woleli połączyć się z wyprawą na carewicza. Od tej chwili inny duch wstąpił we wszystkich. Wyniesiono karabiny podchorążych Moskali, którzy udawali, że niepostrzegają tego, co się około nich działo. Gdy się szkoła uzbrajała, Nabelak i Goszczyński nabijali broń i obliczali swe siły; było wszystkich ośmnastu z Paszkiewiczem i Rottermundem, tudzież dwoma podchorążymi Trzaskowskim, Kobyłańskim którzy oddział prowadzić mogli jako i znający Belweder we środku. Rozdzielili się na dwie równe części. Jedną część, pod komendą Trzaskowskiego udała się w górę drogą ku rogatkom mokotowskim, żeby wpaść do Belwederu od frontu przez główną bramę. Teżsi, silniejsi z postawy składali ten oddział, bo odwagę moralną mieli wszyscy jednaką. Druga część, pod dowództwem Kobyłańskiego, ruszyła do ogrodu belwederskiego, aby działać z tyłu pałacu na przypadek; jeżeliby ptaszek, jak się wyrażali spiskowi, wyleciał do ogrodu. (1).

(1) W oddziale od frontu byli: Trzaskowski, Nabelak, Goszczyński, Zenon Niemojowski, Roch i Nikodem Ru-



Oddział od frontu dochodząc do bramy podwoił kroku, nagle z przerażającym okrzykiem « śmierć tyranowi » wleciał na dziedziniec. Kilka osób tam będących uciekło natychmiast, i przymknęło za sobą drzwi środkowe. Jeden z oddziału uderzył w te drzwi kolbą, przy pomocy innych wysadził je z zawias. Potłuczono szyby w dolnych oknach, przy ciągłym wołaniu « śmierć tyranowi ! » Już natenczas szedł ogień od koszar z ręcznej broni, co domowników księcia do reszty przeraziło, a napadającym dodało ducha. Wtłoczyli się do głównego korpusu oknem i drzwiami. Głuche naokoło milczenie ! Żadnego oporu, żadnego ruchu w całym pałacu. Wpadają na górę, odmykają. a raczej wyłamują jedne drzwi po drugich, z jednego do drugiego przechodzą pokoju — nigdzie żywej duszy. Czynią niezmierny hałas, wszystko wywracają w siedzibie tyrana, lecz jego samego nie znajdują. W przysionku sali audjencjonalnej wysoki mężczyzna sto przyczajony za drzwiami napół otwartemi ; zdawał się chcieć niepochybnej zguby. Poznany i pchnięty kilku bagnietami pada na posadzkę, lecz nie umiera, bo go tylko niewprawne jeszcze ręce dotknęły. Byłto wiceprezydent miasta Lubowidzki, którego zła gwiazda na chwilę przed tym napadem sprowadziła do Bělwederu, z pewną już wiadomością o mającej wybuchnąć rewolucji. Powstanie zastało carewicza śpiącego. Za pierwszym na dole okrzykiem, kamerdyner Kochanowski budzi go, przecierającego jeszcze oczy porywa gwałtem z łóżka, i wpycha do gabinetu, skąd tajemne schody

---

pniwscy, Orpiszewski, Jankowski i Nasiorowski ; w oddziale od ogrodu : Kobylański, Paszkiewicz, Poninowski, Edward Trzcinański, Edward Rottermund, Świętosławski, Krosnowski, Rettel i Kosiński.



prowadziły do lewego pawilonu Księżny Łowickiej 1) ; uczynił to w samą porę, gdyż zaraz potem kilku spiskowych wpadło do tegoż gabinetu. U księżny miała miejsce malarska scena. Ledwo nie u stóp Polki, której tron poświęcił, szukał Konstanty ratunku przed Polakami. Cały dwór niewieści był tam już zebrany : gdy carewicz wbiegł do pokoju księżny w nieładzie nocnego odzienia, kazała ona poklekać kobietom wokół niego, i na głos odmawiać pacierze, pewna, że śród zastępu silnego modlitwą i płcią żadna go zemsta z rąk polskich niedosięgnie. W takiej postawie, z gestami okazującemi bojaźń największą, z wejrzeniem obłąkania, zostawał w tem gronie przez kilka minut, nieprzytomny, błądy, i słowa wyrzec niemogąc. W godzinę jeszcze potem drżał jak liść, a wsiadającemu na konia musiano nogę w strzemię zakładać. Oddział zemsty narodowej splądrowawszy całe górne i dolne pomieszkание prócz pawilonu księżny Łowickiej, jak wleciał, tak z pałacu pędem wyleciał wichru, lecz pierwej na dziedzińcu jednajeszcze ofiarą swe odwiedziny uczynił pamiętniejszemi. « Najnikczemniejszy z nikczemnych », jak go sam W. Książę nazywał, nieodstępny towarzysz, koniuszy, pierwszy faktor carewicza, generał Gendre, spieszący do pobliskich stajen, wpadł wtedy w ręce spiskowych. Krzyczał ze wszystkich sił swoich « je suis général du jour » ; lecz to nic nie pomogło : otrzymał bagnetem w piersi raz głęboki, śmiertelny. Cała wyprawa i kilkunastu minut nietrwała. Młodzież, naznaczywszy krwią pod

---

(1) Joanna Grudzińska, Polka, od roku 1820 żona Wielkiego Księcia Konstantyna Pawłowicza, w roku 1822 wyniesiona przez cara Aleksandra I do godności księżny Łowickiej, wzamian za co Konstanty zrezygnował ze swego prawa do tronu na rzecz młodszego brata Mikołaja.

woje carewicza, obróciła się z Belwederu w prawo, i przez ogród botaniczny zmierzała szybkim krokiem do mostu Sobieskiego. Tu nastąpiło połączenie całego oddziału z podchorążymi, gdyż i druga część, nie mając nic do czynienia w ogrodzie, cofała się ku tej stronie, położywszy trupem jednego z warty ogrodowej, który biegł do pałacu z wiadomością o przybyciu niespodziewanych gości. Tylko co Nabelak i jego towarzysze zdążyli ująć paręset kroków od pałacu, gdy silny tętent koni na drodze z Łazienek do rogatek mokotowskich przekonał ich, jak szczęśliwie, jak cudownym prawie sposobem wielkiego uniknęli niebezpieczeństwa; albowiem wtenczas właśnie jedna część z rozbitych przez podchorążych kirasjerów, przybyła galopem pod Belweder, otaczając pałac z przodu i z boku od ogrodu botanicznego. Jeszcze tedy kilka minut dłużej, a nikt nie byłby żywy wyszedł z oddziału, który wpadł od frontu.

Kiedy rewolucja w pierwszym poruszeniu swoim nawiedzała Belweder i brata potężnych carów północy, spłaszając pościeli, podchorążowie wiedli bój krwawszy, zaciętszy z przemagającymi siłami. Wysocki, jako się rzekło, wszedł do szkoły, przerwał lekcję teorii wykładaną jak zwykle o tej porze, i dobywając szpady zawołał donośnym głosem: « Polacy! Godzina zemsty wybiła, dzisiaj zwyciężymy, albo polegniemy, — nadstawmy piersi nasze wrogom, aby były dla nich Termopilami! » Rozległ się w sali okrzyk: « do broni, do broni! » Dzielni młodzieńcy rozebrali ostre ładunki które Szlegiel przyniósł, nabili karabiny, i daleko prędzej niżeli bym to opisać zdołał, wzięli szyk bojowy na dole. Było ich wszystkich stu sześciudziesiąt i kilku;





każdy z nich znał komendę brygady i dywizji jak generał, a robił bronią jak szermierz. Zręczniejszych tyraljerów, celniejszych strzelców pewnie żadne wojsko nie miało. Teraz szli się odpłacać Moskálowi za długą naukę na Saskim Placu! Na czele tej kolumny uczonych atletów postępował Wysocki wprost do koszar trzech pułków jazdy nieprzyjacielskiej. Koszary te, bronione przez piechotę, mogłyby być niezdobytą warownią; ale dla jazdy choćby kilkutysięcznej, napađniętej przez jeden tylko bataljon piechoty, były stanowiskiem niedogodnym i niebezpiecznym. Zawierały wewnątrz kilkadziesiąt podłużnych stajen i mnóstwo mniejszych pomiędzy swe kwatery. Czerwone dachy, poręcze, chorągiewki w około stajen, i długie regularne ulice między niemi, użyczały temu ogromowi pozorów oddzielnego przedmieścia na Solcu. W środku między budynkami było kilka dziedzińców wysypanych piaskiem, tak obszernych, że dwa i trzy szwadrony mogły razem odbywać ćwiczenia; otaczał je dokoła szeroki i głęboki kanał, napełniony wodą dla konia nieprzeskoczny. Prócz tego jedne koszary od drugich oddzielały cokolwiek mniejsze kanały na których było kilkanaście drewnianych mostków. Podchorążowie, zbliżając się do tego miejsca, strzelili na wiatr, tak dla sprawienia popłochu w jeździe moskiewskiej, jako też dla uwiadomienia kompanij mających przybyć z miasta, że walka już się zaczęła. Te to strzały towarzyszyły wpadającym do Belwederu. Podchorążowie skoczyli zaraz potem w środek koszar ułanów cesarzewicza; już ich trzechset zastali na koniach w szyku do szarży. Nieczekając ani chwili młodź polska postąpiła ku nim na pół strzału karabinowego, i z tej odległości, gdy każdy

jeźdźca albo konia na cel bierze, zaraz spędziła z miejsca ten oddział jazdy. Ułani sformowali się za chwilę, i kłusem ruszyli naprzód; wtedy podchorążowie z mniejszej jeszcze odległości, syjąc ogień na jedną komendę, zsadzili z koni kilkunastu ludzi, reszta pierzchnęła w największym nieładzie, który pomnażały kule gęsto padające między tłoczących się w przeprawie przez mostki. Noc była ciemna; rozumieli przeto Moskale, że najmniej parę tysięcy piechoty mają za sobą. W istocie, trwoga, zamieszanie były tam wielkie, że najwięcej dwie kompanje zachodząc natenczas z przodu, od miasta, mogły być łatwo rozbroić tę całą jazdę, i zabrać ją w niewolę. Lecz gdy Wysockiemu żadna znikąd pomoc nie przybywała, kirasjery i huzary mieli dość czasu wsiąść na konie, i w porządku wyjść z swoich koszar, żeby naszych otoczyć i odciąć od miasta. Ta okoliczność, po części i brak ostrych ładunków, zmusiły podchorążych do cofnięcia się ze zdobytych pustych koszar ułańskich.

Ten pierwszy czyn niezrównanego męstwa przeraził, potem i zadziwił nieprzyjaciela, gdy tenże na koniec postrzegł, że go taka garstka wyrzuciła z koszar. Wysocki zajął stanowisko za mostem Sobieskiego. Tu przedsięwziął oczekiwać bratniej pomocy; tu nadstawił ucha, rychło li zagrzmia z pagórka pod koszarami radziwiłłowskiemi cztery działa Niekoszecia, jak miało być według umowy. Żeby o tych działach i o kompanjach wyborczych powziąć jakąkolwiek wiadomość, wysłał nareszcie podchorążego Kamila Mochnackiego (1) z poleceniem przynaglenia tej pomocy, jeśliby już nadciągała. Lecz Mochnacki wrócił za chwilę i tę tylko

(1) Kamil Mochnacki, młodszy brat Maurycego.

przyniósł wiadomość, że zamiast polskiej piechoty postrzegł kirasjerów, którzy zewsząd otaczają podchorążych, dla przecięcia im drogi do miasta. Wysocki postąpił kilka kroków naprzód i sam się o tem przekonał. Trzeba więc było znieść jeszcze krawą potyczkę dla wyratowania się z pośród nieprzyjaciół. Dwie drogi prowadziły do miasta od mostu Sobieskiego: jedna wprost pod górę, a potem przez główną aleję, druga zaraz wprawo po za gmachem ujazdowskim do *Wiejskiej Kawy*. Kirasjerzy zajmowali obiedwie w szyku do szarży. Wysocki daje rozkaz natarcia z bagnietem na obydwie oddziały. Sam z kilkunastu podchorążymi rzuca się wprawo przeciwko konnicy, co zajmowała trakt boczny. Walka trwała tylko jeden moment. Podchorążowie rozsypując się i gromadząc, obyczajem tyraljerskim, nacierając i ustępując w miarę, jak tego miejsce dopuszczało, strzelając z rowów, zpoza drzew, z przodu i z boku, rozpędzili kirasjerów, — a potem zebrawszy się postępowali drogą za Ujazdowem. Część rozbitej jazdy poleciała galopem do Belwederu, wtedy właśnie, kiedy stamtąd spiskowi wychodzili, druga część z tyłu nieprzyjaciela niepokoiła podchorążych, którzy mając wolną drogę przed sobą pomykali się naprzód wśród ciągłych, zawsze odpieranych napadów kawalerji. Dochodząc do *Wiejskiej Kawy* młodzież nasza postrzegła przed sobą nowego nieprzyjaciela — szwadron huzarów, który w tej samej chwili ruszył klusem od głównej alei, na czoło małej kolumny Wysockiego. Położenie podchorążych było wtedy najkrytyczniejsze. Z tyłu parci przez kirasjerów, z przodu zagrożeni od huzarów (których cały pułk stał na odwodzie na polu za owym szwadronem), półobrotem w lewo

od *Wiejskiej Kawy* dopadli szczęśliwie koszar radziwiłłowskich, budynku niedokończonego, gdzie z okien i bramy ubili Moskałom kilku jeszcze ludzi i koni. Tu Wysocki miał myśl zatrudnienia sobą jak najdłużej jazdy nieprzyjacielskiej, żeby nie wpaść do miasta, coby oczywiście zaszkodziło rozpoczynającym się tam ruchom i utrudziło opanowanie celniejszych punktów. Mniemał także, że się przecie choć w obłężeniu doczeka artylerji i kompanij wyborczych. Lecz nakoniec, gdy zupełnie zabrakło ładunków prawie wszystkim podchorążym, a przed bramą coraz gęstszy hufiec jazdy skupiać się począł, zostawało mu tyłko bagnetem otworzyć sobie drogę do miasta. « Obłężają nas! » — krzyknęli podchorążowie; otworzyli przeto bramę i rzucili się na huzarów. Ale i ten trzeci oddział jazdy, jak dwa pierwsze, nie dotrzymał placu ch natarczywości.

Nic odtąd nie utrudzało zwycięskiego pochodu podchorążych.

---

Powstanie 1830-1831 roku zakończyło się klęską. Uczestników powstania zwycięska Rosja karała śmiercią, zesłaniem włąb Rosji lub na Sybir, konfiskatą majątków. Uchodząc przed zemstą carską — część wojska polskiego, członkowie rządu powstańczego, postawie sejmowi udali się na dobrowolne wygnanie do zachodnich krajów Europy, zwłaszcza do gościnnej Francji. Pod wpływem boleści nad utratą ojczyzny, tutaj, na emigracji, nastąpił wspólny rozkwit polskiej poezji. Z potężnego hymnu wiary, nadziei i miłości patriotycznej, jakim są dzieła Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego i innych pisarzy tej epoki następne, tak ich rówieśni, jak i pokolenia czerpały moc, wytrwania w ciężkiej walce o lepszą przyszłość narodu.

Podajemy poniżej końcowe ustępy « Anhellego ». W poemacie tym Słowacki opisuje językiem nieporównanie malowniczym i dźwięcznym cierpienia i rozterki duchowe niezliczonych wygnańców, czy to przemocą carską zagnanych w lody Sybiru, czy też przed groźbą knuta zbiegłych z pomiędzy nich (uosobionych przez poetę w postaci « Anhellego »), którzy wierzyli sami i innych uczyli wierzyć w zmartwychpowstanie narodu, aczkolwiek nigdy oczyma swemi nie mieli oglądać urzeczywistnienia swej wiary. W wiele lat dziesiątków po ich skonie dopiero, nad grobem ich, miała zaświtać zorza wolności, na którą dzisiaj patrzymy.

## ANHELLI

### ROZDZIAŁ XVI

A zostawszy sam, Anhelli zawołał smutnym głosem : więc koniec już!

Cóż robiłem na ziemi ? byłże to sen?

A gdy rozmyślał Anhelli o tajemnicach przyszłych,

zaczzerwieniło się niebo i wybuchnęło wspaniałe słońce; a stanąwszy na kręgu ziemskim, nie podniosło się, czerwone jak ogień. (1)

Korzystały z dnia krótkiego ptaki niebieskie i białe mewy, którym Bóg uciekać kazał przed ciemnością, i wielkimi tłumami leciały jęcząc.

Więc spojrzął na nie Anhelli i zawołał : gdzie wy lecicie, o mewy ?

I zdawało mu się, że w jęku ptaków usłyszał głos, odpowiadający mu : lecimy do ojczyzny twojej!

Czy każesz nam pozdrowić kogo ? czy, usiadłszy nad jakim miłym domem, zapiać w nocy pieśń nieszczęścia ?

Aby się obudziła matka twoja, lub który z krewnych twoich i zaczęli płakać w ciemności z przerażenia,

Myśląc o synie, którego pożarła kraina grobowców, (2) i o bracie, którego pochłonęło nieszczęście.

Taki był głos ptaków, i rozkruszyło się serce w Anhellim i upadł.

A słońce utonęło pod ziemią, i tylko jeszcze najwyżej lecące ptaki świeciły na szafirowym niebie, jak róż białych girlandy, ulatające ku południowi.

Anhelli był umarły.

## ROZDZIAŁ XVII

W ciemności, która była potem, rozwidniła się wielka zorza południowa i pożar chmur.

(1) Jak we wszystkich krajach bardzo daleko na północ wysuniętych, tak i w północnej Syberji tylko z wiosną i na jesień dnie zmieniają się z nocami jak u nas. Ku latu noce stają się coraz krótsze, aż przychodzi kilkumiesięczny dzień letni; ku zimie zaś noce się coraz przedłużają, aż nastaje wieczna noc, rozświetlana tylko od czasu do czasu zorzami północnymi.

(2) Sybir.



A księżyc znużony spuszczał się w płomienie niebios, jakoby biały gołąb spadający wieczorem na chatę czerwona od słońca zachodu.

I oto nagle z płomienistej zorzy wystąpił rycerz na koniu, zbrojny cały, i leciał z okropnym tętentem.

Śnieg szedł przed nim i przed piersią konia, jak fala zapieniona przed łodzią.

A w rękę rycerza była chorągiew, a na niej trzy ogniste litery paliły się.

I przyleciawszy ów rycerz nad trupa, zawołał grzmiącym głosem : tu był żołnierz, niech wstanie !

Niech siada na koń, ja go poniosę prędzej niż burza sam, gdzie się rozweseli w ogniu.

Oto zmartwychwstają narody ! oto z trupów są bruki miast ! oto lud przeważa !

Nad krwawemi rzekami i na krużgankach pałacowych stoją bladzi królowie, trzymając szaty na piersiach szkarłatne, aby zakryć pierś przed kulą świszczącą i przed wichrem zemsty ludzkiej.

Korony ich ulatują z głów, jak orły niebieskie, i czaszki królów są odkryte.

Bóg rzuca pioruny na głowy siwe i na obnażone z koron czoła.

Kto ma duszę, niech wstanie ! niech żyje ! bo jest czas żywota dla ludzi silnych...





THE [illegible] [illegible]





Ileż to razy wojna, która dopiero co została przerwana zawieszeniem broni, która raz po raz jeszcze na naszych ziemiach wybucha krwawym płomieniem starć z Ukraińcami, z Niemcami, z Austryakami, z bolszewikami, — ileż razy wojna ta zmuszała Polaków, walczących we wrogich armjach, za nieswoją sprawę, potykać się z sobą, brat z bratem. Dziś to już przeszłość ! Polska niepodległa i zjednoczona zjednoczy pod wspólnym sztandarem wszystkich synów swoich, i jeśli jeszcze kiedy przyjdzie nam bronić praw naszych z bronią w rękę, będziemy się bić za swoją sprawę, pod swoim znakiem, i nie będziemy ginąć od bratobójczych pocisków ni razów.

## SPOTKANIE

---

Było to wiosną 1915 roku. Pułk ułanów rosyjskich, w którym służyłem wówczas, po tryumfalnym wkroczeniu do Przemyśla, w którego blokadzie czas jakiś się znajdował, został nagle przerzucony nieodwołalnym rozkazem z twierdzy tej w odległy kąt Bukowiny, na samą granicę rosyjską, gdzie ciągnęły się wówczas nasze i nieprzyjacielskie okopy. Rozkaz ten tłumaczono sobie przewidywanymi walkami decydującymi na tamtym froncie, które miały utworować nam drogę na Węgierską równinę, gdzie otwierało się znowu pole dla służby czysto kawaleryjskiej i dla takiego przede wszystkim pułku, jak zasłużony nasz pułk ułanów. Rzeczywistość stwierdziła zupełnie co innego: zrobić przerwę we froncie wcale się wojskom naszym nie udało, my zaś nieszczęśni kawalerzyści, zamiast ataków

i harców po Węgierskiej równinie, zawiedzeni zostaliśmy do okopów do pomocy przemęczonej piechocie.

Pożegnaliśmy wówczas na długie dni i tygodnie konie nasze i zaciąwszy usta, poszliśmy pełnić bez szemrania nowe nasze obowiązki.

Któregoś dnia wieczorem powracając z pieszego podjazdu wprost na przeznaczoną dla nas pozycję, gdzie spodziewałem się zastać już mój szwadron, zatrzymałem się wraz z moimi ułanami przed gankiem starego szlacheckiego dworu, o którego obecnym stanie świadczyły wymownie powybijane wszystkie prawie szyby w oknach i drzwi wejściowe wyjęte z zawiasów. Ukazał się we drzwiach tych dragoński podoficer o ospowatej twarzy i na zapytania moje objaśnił, że szwadron ułanów jeszcze nie nadciągnął, i, że oni, dragoni, oczekują jego przyścia każdej chwili, gdyż dawno już należy im się zmiana z tej « parszywej », jak się wyraził, pozycji. Usłyszawszy to wszystko, wydałem niektóre rozporządzenia moim ludziom, sam zaś wszedłem za podoficerem do wnętrza dworu.

Wionęło na mnie chłodem i pustką.

Na posadzce pierwszego pokoju, do którego wszedłem, zobaczyłem porozrzucane wiązki brudnej słomy, nawpół zgniłej i cuchnącej, gdzie odpoczywała przed naszym przyściem piechota, jak objaśnił mnie dragoński podoficer. W ścianach tkwiły haki od obrazów, czy portretów, które dawno już zapewne zostały ze ścian zdarte i zniszczone. Pozatem ani jednego sprzętu nigdzie. Wszystko zostało tu połamane i wyniesione. I jakby na ironję górował nad tem wszystkim polski napis wymalowany wielkimi literami na ścianie prze-

ciwległej wejściu : « Gość w dom — Bóg w dom ».

« Mili goście — pomyślałem — wandalę nowożytni ».

Szybko przechodziłem przez szereg pokoiów, szukając jakiegoś sprzętu, na którym możnaby odpocząć po długim pieszym przemarszu; niestety zostało tu tylko gǳieniegdzie wspomnienie po dobrobycie, jaki tu kiedyś panował: tu i ówdzie widniały szczątki połamanych na opał mahoniowych mebli; jakieś resztki tureckiej otomany z wyszarpanemi sprężynami. W pewnej chwili zaszeleściły mi pod nogami stopy ikartek, porozrzucanych na posadzce. Nachyliłem się podniosłem z nich kilka. Były to rzadkie francuskie wydawnictwa, a raczej poszarpane ich szczątki — « białe kruki » z XVIII stulecia, prawdopodobnie latami całemi kolekcjonowane przez właścicieli.

Nieopodal natknąłem się na ukrytą pod stosami tych kartek ramę jakiegoś obrazu. Po chwili miałem możność przekonania się, że patrzy na mnie z tych ram jakiś stary szlachcic w kontuszu, barwy województwa Ruskiego, z jedną szlifą na ramieniu, jak to po sejmie czteroletnim noszono.

Szlachcic miał starannie wyklute bagnetem czy nożem oczy i domalowane atramentem ośle uszy...

Deptyły po tym portrecie starego pana, może pierwszego dziedzica tego dworu, co kazał ów napis : « Gość w dom — Bóg w dom » — jako dewizę swą wypisać, deptyły i kopały go wzgardliwie ciężkie, gwoździami podkute buty ostatnich w jego dworze.

— Było więcej takich wymalowanych panów i pań — pospieszył objaśnić towarzyszący mi podoficer — ale piechury, co siedzieli tu przed nami, podpalali niemi

drzewo w piecu, kiedy im zimmo było.

— I doskonale zrobili — zauważyłem — przy najmniej przestali patrzeć ze ścian ci starzy panowie na to, co ta zgraja z ich dworem wyrabia...

Wszedłem do ostatniego pokoju.

Był to najwidoczniej pokój wspólny sypialny państwa domu. Jakieś szczątki szerokiego łoża z poodbijanemi i połamanemi nogami, leżały na środku tego pokoju.

Odarte w wielu miejscach błękitnawe obicie na ścianach zwieszało się żałosnemi strzępami.

Na suficie dwa wymalowane jasnowłose aniołki o pulchnych policzkach i dziecinnie radosnych uśmiechach, jakby na urągowisko celowały strzałami ze swych łuków w kierunku tego połamanego, sponiewieranego łoża.

Ściany zostały upiękzone natomiast napisami węglem najordynarniejszych wyrazów i wierszyków w języku rosyjskim i niemieckim, bo i niemieckie wojska przedtem tu « gościły ». Napisy te uplastycznione zostały w paru miejscach pornograficznemi rysunkami jakiegoś domorośłego artysty-żołdaka.

I wśród tej całej ohydy, jakby zabląkane wspomnienie po innem życiu, jakie tu panowało — w wielkim nawpół pękniętym marmurowym wazonie, co stał w ciemnym rogu tego pokoju, widniał pęk dawno zeschłych kwiatów, dziwnym zbiegiem losów nietknięty dotąd przez nikogo.

Była to jakby ostatnia zamarła już pamiątka po tych, co tu kiedyś żyli — dziś tułaczach bezdomnych...

Przeszedłem znowu ten sam szereg pokojów i stanąłem na ganku.

Słońce już dawno zaszło.

Lekki wiatr szeleścił w liściach krzaków bzu i czeremchy, któremi wysadzona była niewielka aleja wjazdowa. Z dachu dworu rozlegał się klekot bociana.

Nic, ani jednego odgłosu, przypominającego wojnę, przypominającego, że o trzysta, czterysta kroków stąd wije się nasz okop, a jeszcze o kilkaset kroków dalej — okop naszego przeciwnika; że każdej chwili może zakotłować się tu od granatów, co przedrą się przez gałęzie i liście tych spokojnie kołyszących się krzaków, uderzą w dom, zmiotą bez śladu gniazdo, na którym tak lekkomyślnie klekocze sobie wielki biały bocian.

Cicho na pozycjach.

I choć nie jestem w tych obu okopach, zda się widzę, jak szykują się w nich do snu zmęczni żołnierze i tylko czaty bacznie wpatrują się wśród mroku w kontury nieprzyjacielskiego blindażu, czy aby « on », ów nieprzyjaciel, nie podkrada się podstępnie.

Ale i « on » szykuje się też do snu i u niego to samo dzieje się w okopie.

Cicho wokoło.

Słyszę wreszcie przytłumiony zbliżający się chrzęst oręża i kroki miarowe wielu nóg.

To spóźniony szwadron nasz nadciąga. Chwila jeszcze i już jestem między naszymi ułanami, składam raport dowódcy.

Szwadron zostaje rozbity na trzy części, na trzy placówki. Młody tymczasowy dowódca rozdziela na odpowiednie placówki plutony, wysyła je, nie tracąc czasu. Sam rusza z drugim i trzecim plutonem, w którym to właśnie służyłem, na główną placówkę, do której przewodnikiem nam jest pozostawiony w rozbitym dworze dragoński podoficer...



Zaczęliśmy schodzić ogrodową aleją, potem wąską ścieżką, w jakieś parowy, któremi znowu dotarliśmy do cmentarza, za cmentarzem przecięliśmy części zabudowań wioski, aż doszliśmy do wysuniętej za wioską oddzielnej chaty, która była miejscem naszego przeznaczenia. O sto kroków od niej, wśród drzew chłopskiego ogrodu, ciągnął się nasz okop.

Nastąpiło oddawanie nam przez dragonów udziału, objaśnianie słabszych i silniejszych miejsc jego oraz wszelkich niezbędnych w takich razach szczegółów.

Nareszcie kiedy już wszystko zostało rozstawione, gdzie należy, i ostatni dragon opuścił maleńkie chłopskie podwórze, zesliśmy obaj z dowodzącym szwadronem porucznikiem do naszej izdebki w chacie i wyciągnawszy się na ławkach, patrząc w brudny sufit, na którym mogliśmy nawet przy ogarku naszej świecy policzyć w różnych kierunkach pełzające ogromne « prusaki », zaczęliśmy wywoływać wspomnienia czasów przedwojennych, wspomnienia wykwiśniętych pensjonatów zagranicznych i plaż nadmorskich, gdzie żyliśmy w podobnych pozycjach, patrząc w lazur nieba. Śmiejąc się nad kontrastem terażniejszości w stosunku do tamtego przeszłego życia, przeszliśmy na inny temat i zaczęliśmy cokolwiek cynicznie analizować zalety i wady ostatnich przyjaciółek.

Wreszcie rozmowa urwała się — nie było o czem więcej mówić.

Wyciągnąłem zza żołnierkiej bluzy jakąś książkę, podniesioną z podłogi w rozbitym dworze, i zagłębiłem się w czytanie.

Był to jakiś romans francuski z przeszłego stulecia, bardzo nudny i doskonale usposabiający do snu.

Odrzuciłem go po jakimś czasie i otuliwszy się szczerlnie szynelem — zasnąłem.

Śniły mi się sny dziwaczne.

Silne szarpnięcie obudziło mnie z tych przykrych widziadeł.

Przy słabym blasku świecy dojrzałem swego czasowego dowódcę szwadronu.

— Gadasz coś przez sen przez całą noc — ozwał się tonem wymówki — i spać mi nie dawałeś. Obudźże się teraz i zechciej przyjmować wszystkie papiery, o ileby w czasie mojej nieobecności przyszły.

— A ty dokąd się wybierasz? — spytałem siadając na ławce.

— Otrzymałem rozkaz stawienia się niezwłocznie do dowódcy pułku. Nie dąlej jak za trzy kwadranse będę z powrotem.

Skierował się ku drzwiom.

— Czekażże! — zawołałem za nim — przecie tu na głównej placówce niema prócz ciebie żadnego oficera, komu więc na ten czas pozostawiasz dowództwo?

— Mówię ci — powtórzył trochę podrażniony — że odjeżdżam w małoważnej sprawie i wiem, że wrócę nie później, jak za trzy kwadranse. Przez ten czas i o tej porze nie się tu stać nie powinno, skoro od tygodnia przeszło nieprzyjacieli siedzi spokojnie. O cóż ci więc chodzi? O formalistykę? W takim razie dobrze, pozostawiam tobie prawo rozporządzania się w mojem imieniu.

Nim zdążyłem mu odpowiedzieć, już go nie było.

Zgasilem świecę i uniosłem grubą sukieną zasłonę, wiszącą na okienku.

Świtało.



Z ciemności coraz wyraźniej wyłaniały się kontury chłopskiego ogrodu.

Pod białymi sosnami można już było z łatwością odróżnić ciemne grupy przytulonych do siebie śpiących naszych ułanów.

Uważnie nadstawiłem ucha — cisza wszędzie niezakłócona ani jednym wystrzałem.

Jak długo sen mój trwał — nie wiem...

Zbudził mnie tak dobrze mi znany trzask austriackich kul i turkot kulomiotu.

W jednej chwili byłem na nogach, porwałem za czapkę i pchnąwszy drzwi, wyskoczyłem z chaty.

Było już prawie zupełnie jasno, mgła tylko przysłaniała dalsze przestrzenie.

— Do broni! — zawołałem — do mnie podchorążowie!

Obaj podchorążowie plutonów, stanowiących główną placówkę, podbiegli na moje wezwanie. Właściwie obaj byli starszej rangi odemnie, jako od podoficera-wolontariusza, jednak weszło w zwyczaj już dawno w szwadronie, że mając sobie polecane oddzielne zadania, niejednokrotnie pełniłem funkcje oficerskie, zwłaszcza przygotowując się do tej przyszłej rangi, i dla tego i tym razem żadnego z podchorążych nie zdziwiło moje wystąpienie.

Nie zwlekając, wydałem im rozkaz w imieniu nieobecnego dowódcy szwadronu, by zebrali swoje plutony i poprowadzili je za mną do okopu, gdzie dla bezpieczeństwa zostawialiśmy tylko mocne warty, dając możliwość pozostałym ludziom odpoczywać wygodniej.

W oka mgnieniu zebrały się plutony.

Poszliśmy.



Przejsć tę przestrzeń mniej więcej stu kroków do okopu, nie było rzeczą prostą, — nieprzyjacielskie kulomioty zasypywały kulami jak gradem ogród, przez który poginani w pałąk, osłaniając się gdzieś niedzie konarami bardzo grubych drzew, — przemysłaliśmy się biegiem do naszego okopu. Nie obeszło się bez strat — paru rannych ułanów.

Wreszcie wskoczyliśmy do okopu.

Porwałem za polową lornetę.

Ze mgieł wyłaniały się gęste tyraljerskie łańcuchy nieprzyjaciela, który porzuciwszy swój okop, osłaniając się każdą wyniosłością terenu, podbiegał ku nam.

Atak ten podtrzymywany był rześistym ogniem pozostałych w okopie Austrjaków.

Złudzeń żadnych być nie mogło — nieprzyjaciel postanowił siłą swego bagnetu odebrać nam naszą pozycję.

Położenie moje stało się teraz najgorszem, jakie można sobie wyobrazić w tych warunkach. Dowódca odjeżdżając, pozostawił mi prawo rozporządzania się w jego imieniu, ale dlatego tylko, że nie przewidywał nic ważnego, boć w innym wypadku oddałby to dowództwo starszemu z oficerów na bocznych placówkach, to jest kornetowi swego szwadronu.

Co miałem robić teraz? Korneta zawiadamać o nieobecności dowódcy i prosić go, by przybywał na główną placówkę, — która była kluczem całej pozycji i skąd powinien iść ster rozporządzeń — było za późno.

Placówka jego była bowiem dość oddalona, a łańcuch tyraljerów nieprzyjacielskich podchodził coraz bliżej i bliżej.





Pozostało mi jedno, dość ryzykowne wyjście : nic nie zawiadamiając nikogo o nieobecności dowódcy, jego imieniem rozporządzać się całym szwadronem, to jest i dwoma naszymi oficerami z bocznych placówek.

Czas nagił.

Pamiętałem całą sytuację rozmieszczenia naszych wart polowych i okopu, gdyż razem z oficerami rozpatrywaliśmy to poprzedniego wieczora, według szczegółowej mapy, i pamiętałem również, że z wysuniętej cokolwiek przód placówki korneta kulomiot nasz tam umieszczony, działać może wzdłuż naszego okopu dopiero wtedy, kiedy odwołaną zostanie lewo-skrzydłowa warta polowa z placówki chorążego, znajdująca się na linii strzału kulomiotu.

Tymczasem tyraljerzy lada chwila mogli już dojść do linii, na której podpadali pod ów flankowy ogień naszego kulomiotu.

Nie tracąc więc chwili czasu, pchnąłem najbliższego ułana z rozkazem do polowej tej warty, by zaraz po sterunek swój opuściła, jednocześnie zaś do korneta, do którego było cokolwiek dalej, wysłałem drugiego ułana, rozkazując w imieniu dowódcy szwadronu rozpocząć kulomiotowy ogień flankowy na nieprzyjaciela wzdłuż naszego okopu, jak tylko nastąpi odpowiednia chwila.

Tymczasem ułani nasi smalili karabinowym ogniem podchodzącą nieprzyjacielską piechotę.

Podniosłem ponownie lornetę do oczu, by lepiej jeszcze zlustrować położenie rzeczy.

Łańcuch nieprzyjacielski szedł pomimo naszego ognia na nas z taką brawurą, jakiej dotąd nie widywałem w austriackich wojskach.



— Prusacy chyba — pomyślałem, — albo Węgrzy. Kształt ubioru głowy mieli jakiś inny niż cesarsko-królewskie wojska — w każdym razie nie były to też i pruskie pikelhauby.

Coraz byli bliżej nas i bliżej.

W pewnej chwili stanął koło mnie dowodzący lewoskrzydłową połową wartą podoficer raportując, że warta jego już się cofnęła do ogólnego okopu.

Minęło jeszcze parę minut. Zacząłem już denerwować się, że ułan wysłany do korneta po drodze został zabity, lub ranny i nie dotarł do miejsca, kiedy ku memu zadowoleniu ozwał się z placówki korneta kulomiot nasz najpierw krótko, dorywczo, próbując celności wystrzałów, potem całą wstęgą kul śmiertcionośnych.

Ze zdwojoną energią zawtórowaliśmy mu z karabinów z głównej naszej placówki, biorąc w ten sposób przeciwnika w krzyżowy ogień.

Rażeni z przodu i ze skrzydła, tyraljerzy nieprzyjacielscy, widząc, że nie zasypiamy sprawy i że dzielącą ich od naszego okopu przestrzeń okryją tylko własnymi trupami z bardzo wątpliwym rezultatem, rzucili się do odwrotu prześladowani naszymi wystrzałami.

Atak został odparty.

Odetchnąłem swobodniej. Odpowiedzialność, jaka spadała na mnie za nawpół samozwańcze dowodzenie szwadronem, zredukowała się teraz do « minimum ».

Ogień na całej nieprzyjacielskiej linii nagle się urwał, niebawem i nasi poszli za tym przykładem i tylko oddzielni amatorzy podstrzeliwania każdego niebacznie wysuwającego się z okopu przeciwnika, wymieniali jeszcze sobie kule specjalnego przeznaczenia.

Pozatem znowu zapanował spokój na całej linii a z

nim wesołość wśród ułanów, jaka bywa zwykle po niemęczącej, a udatnej potyczce.

Strat nie mieliśmy prawie żadnych.

W pewnym czasie od strony prawoskrzydłowej placówki zbżyła się ku nam grupa ludzi.

— Jeńca prowadzą ! zaczęto sobie podawać z ust do ust wiadomość — jeńca austriackiego !

Trzej nasi ułani stanęli przedemną, mając między sobą wziętego do niewoli nieprzyjacielskiego żołnierza z raną w lewym ramieniu, opatrzoną naprędce, już najwidoczniej u nas, « indywidualnym » bandażem, przez który sączyła się krew.

Ale nie austriacki był to żołnierz. Na głowie miał niewysoką rogatywkę, prochowego koloru, ze srebrnym polskim orzełkiem nad daszkiem...

Bywają nieoczekiwane, rzadkie spotkania, kiedy widok czyjś odbiera na chwilę panowanie nad sobą, kiedy nagły skurcz chwyta za gardło, a w oczach ciemno się robi. Tak spotykają się po długiej rozłące ludzie niedgdyś bliscy sobie, co wiele bólów i radości przeżyli razem, zanim rozdzieleni zostali przez losy. W ciągu jednej chwili, gdy ujrzą się znowu, i wpatrują się w drogie sobie, choć już przez czas zmienione rysy, cała ich wspólna przeszłość staje im przed oczyma, a tży wewnętrzne po tem co już niepowrotne, dławią słowa powitania.

Ale ja nie znałem tego młodego jasnowłosego chłopca, nie widziałem go nawet przedtem nigdy — był on mi zupeł nie obcym.

A jednak długa chwila upłynęła, zanim mogłem spokojnym głosem zadać mu pytanie w ojczystym naszym języku :



— Pan służy w Legjonach ?

Teraz na jego twarzy odbiło się zamieszanie. Ale trwało to tylko przez jedno mgnienie oka. Usta jego wykrzywił skurcz pogardliwy :

— Tak jest — odpowiedział twardo, nie podnosząc na mnie oczu.

— Więc to wyście z taką furją atakowali nas przed chwilą ?

Skinął potwierdzająco głową.

Znowu zamilkłem.

Stałem w okopie plecami do pola, na które skierowałem przed kwadransem kulomiot i karabiny naszego szwadronu, ale zdawało mi się, że widzę je w tej chwili jasno przed oczami, nie odwracając głowy, widzę je pokryte grupkami ciał skrawionych, dogorywających ciał polskich strzelców...

Chciałem mu jeszcze zadać nowe pytanie, ale obok stojący ułan zwrócił mi uwagę, że zbliża się do nas dowodzący szwadronem pomocnik. Przybrałem służbową postawę i przystąpiłem do niego, złożyłem raport o tem, co zaszło w jego nieobecności.

— Cały atak trwał mniej więcej kwadrans? — spytał, wysłuchawszy raportu.

— Tak, mniej więcej.

— No, ale też mam pecha — zaklął cicho i już nieoficjalnie — akurat wezwano mnie w tym czasie. A tobie bardzo dziękuję... — uściśnął mi rękę, potem postępując naprzód, spojrzał na jeńca :

— Zdaje się, że mundur Legjonów Polskich !

Jasnowłosy strzelec podniósł na niego wielkie marzycielskie oczy i spokojnie odpowiedział po polsku :

— Tak, jestem polskim legionistą.



Porucznik zwrócił się do mnie :

— Zdaje się, że jeniec nie zna rosyjskiego — bądź łaskaw być tłumaczem.

— Jakie siły wasze stoją tu naprzeciwko naszego okopu! — pytał dalej.

Powtórzyłem po polsku pytanie.

— Wiadomości takich uczciwy żołnierz nie zdradza — otrzymałem odpowiedź i przełożyłem ją zaraz porucznikowi.

Skinął z uznaniem głową.

— Spytaj go w takim razie jeszcze, skąd jest rodem, i zaraz trzeba go będzie odesłać do sztabu dywizji.

Nim zdążyłem przełożyć pytanie, jeniec podniósł energicznie głowę i patrząc śmiało obu nam w oczy, rzucił dwa wyrazy po rosyjsku :

— Russkij poddannyj.

— Ach tak — ozwał się porucznik zmienionym tonem — nasz poddany. My tu walczyliśmy o zjednoczenie ziem polskich i uwolnienie was z niemieckiego jarzma, a ty, Polak, poszedłeś w służbę Niemców, największych naszych i waszych wrogów.

W odpowiedzi było milczenie.

— Czegoż milczysz! — zapalił się porucznik — no cóż, miej odwagę powiedzieć, że wierzysz więcej obietnicom Wilhelma i starego Franca, niż naszego cara.

Legjonista potrząsnął przecząco głową.

— Niczem są dla mnie wszystkie obietnice. My legioniści bijemy się o wolną i nikomu niepodległą Polskę i sami ją wywalczyliśmy.

Porucznik wzruszył ramionami :

— Fanatyk — mruknął — nie dogadasz się z takim filozofem. Trzeba go odesłać do sztabu dywizji, niech tam sobie robią z nim, co im się podobą.



Wyrwał kartkę z połowej książki i zaczął na niej coś pisać.

Przysunąłem się wówczas zupełnie blisko do jeńca :

— Przyznał się pan do poddaństwa rosyjskiego — zwróciłem się do niego po krótkiej chwili namysłu — czy wie Pan, co to pociąga za sobą!

— Wiem — brzmiała odpowiedź — będę rozstrzelany.

— Tak, właśnie. Otóż chociaż walczyliśmy przeciw sobie, jednak walczyliśmy dla tej samej idei, dążąc tylko do niej odrębnymi drogami. Dopiero przyszłość pokaże, która z tych dróg była lepszą. Więc tymczasem pomijając to, zwracam się do pana tylko jak Polak-żołnierz do Polaka-żołnierza z jedną prośbą,

Ze zdziwieniem podniósł na mnie oczy.

— Z prośbą do mnie!

— Tak, z prośbą — powtórzyłem. — Był tu w sąsiedniej dywizji niedawno wypadek, że wzięto do niewoli poddanego rosyjskiego z ukraińskiego legionu. Miano go też jako zdrajcę stanu rozstrzelać. Otóż żołnierz ten, który początkowo imponował wszystkim swoim spokojem i zimną krwią, gdy doszło do egzekucji i kiedy już miał stanąć przed obliczem śmierci, złamał się nagle, zapłakał, zaczął błagać, by morderowano życie, przyznając się do swej omyłki, przeklinając ją, bijąc się z żalu w piersi. Po pewnych namysłach władzy, poszedł wtedy raport o ulaskawienie go — i został ulaskawionym.

— Czy chce mi pan poradzić tego samego systemu — spytał ironicznie.

— Przeciwnie. Chcę prosić, by zachował Pan nieugiętą dumę aż do samego końca aż do chwili śmierci,

jak to żołnierzowi polskiemu przystoi — by się Pan nie poniżył... —

Jasnowłosy chłopiec pierwszy raz utkwiał we mnie swe wielkie oczy z wyrazem życzliwości, bez poprzedniego odcienia ironji i chłodu.

— Może być Pan pewien — rzekł z mocą — przyrzekam to panu.

Nic więcej nie mówiliśmy ze sobą.

Kartka do dywizji była tymczasem napisana i doręczona jednemu z konwojujących jeńca ułanów.

— No, w tył zwrot i marsz! — skomenderował krótko dowodzący szwadronem.

Poszli.

Przeprowadzałem ich oczyma.

Długo jeszcze migąła mi między drzewami szara niewysoka rogatywka...

W jakiejś chwili uczułem doknięcie do ramienia.

Porucznik uśmiechał się do mnie życzliwie :

— No, mój samozwańczy dowódco szwadronu — przemówił żartobliwym tonem — wobec tego, że udała ci się twoja wojenna awantura, nie pozostaje mi nic, jak przedstawić cię do następnego krzyża św. Jerzego.

— Tym razem nie zrobisz mi krzyżem żadnej przyjemności — odpowiedziałem trochę oschle.

— Cóż to znowu ! Zwarjowałeś ? — zdziwił się.

Wskazałem mu wtedy na pole, gdzie leżały grupki ciał poległych i przypomniałem mu, że to moi rodacy.

Zdawał się nareszcie zrozumieć, jakie powodują mną uczucia i dlatego zapewne nie mógł powstrzymać się od jednego pytania :

— Powiedz mi — rzekł — czy gdybyś przed atakiem wiedział, że to Polacy, zrobiłbyś pomimo tego te same zabójcze dla nich rozporządzenia !



— Słowo w słowo te same — odpowiedziałem, patrzając mu prosto w oczy — bo żołnierzowi na posterunku nie wolno ulegać żadnym sentymentom.

Poznałem z jego twarzy, że niezupełnie mi wierzył, było mi to zresztą wysoce obojętne.

\* \*

Wyskoczyliśmy z okopu, kierując się ku chatce, gdzie spaliśmy w nocy. Poprosiłem swego dowódcy, by mi pozwolił przejść teraz na prawoskrzydłową naszą placówkę, skąd najlepiej widocznem było całe pole, po którym szli na nas legioniści.

Zgodził się naturalnie i po kilku minutach siedziałem już pomiędzy brzożami niewielkiego chłopskiego zagajnika, na świeżej darni, wilgotnej jeszcze od porannej rosy.

Słońce już wzeszło.

Na gałęziach brzoż, okrytych świeżą zielenią, trzepotały się wesoło jakieś ptaki. Tuż pod nogami memi na wyłobionej przez deszcz drożynie, dostrzegłem bawiące się radośnie dwa podłużne owady o czarnych skrzydłach, o czerwonych łapkach. Stawały one na tylne nogi, opierając się o siebie pyszczkami, jakgdyby bodząc, to znów tarzając się na piaszczystej drożce. Ja zaś wielka mrówka przeszła koło nich szybkim krokiem, niosąc zdobycz — drobną muchę.

Zdaleka doszło mnie klekotanie bociana — może tego samego z gniazda na rozbitym dworze. Życie kipiało wokoło odrębne dla każdego stworzenia, nie zmieniało swego trybu jak codzien, jakby nic tu nigdy tego spokoju nie przerywało, jakby nie rwały się przed niedawną chwilą eksplodujące kule, składając daninę śmierci.



A tymczasem tam dalej pomiędzy naszym i austriackim okopem, jakby na urągowisko temu słonecznemu dniowi i tej radości, która tu wokoło w naturze kipiała, leżały ciemne ciała polskich strzelców, okryte już całunem śmierci.

Patrzyłem na te ciała starając się je teraz policzyć : tu samotny jeden strzelec, tam trzech blisko siebie, jeszcze dwóch i jeszcze...

— Nie wróćcie już do Polski, za którą tu legliście — myślałem. — Długo napróżno czekać was będą ci, którzy tam w Polsce pozostali. Aż dojdzie do nich wieść, że już tego, kogo oczekują, więcej nie zobaczą. « Poległ w takiej to bitwie » będzie sucho brzmiała urzędowa wiadomość. Kochanka, może młoda żona, usłyszawszy o tem, zblednie, krzyknie, przez tydzień będzie chodzić z zapłakanymi oczyma, potem stopniowo pogodzi się z losem — odda innemu swe serce...

Ale będzie ktoś, kto długo nie zechce uwierzyć, że nie wróćcie już nigdy. Wypłakane, starcze oczy matki wtulonej we framugę okna, długo będą wpatrywać się w dal, wyglądając waszego powrotu dni i wieczory ; cicho będą poruszały się blade usta w modlitwie, by Bóg sprawił cud i powrócił przypadłego bez wieści syna jej, matce. I dawno już o was pamięć zaginie, a one, zgrzybiałe staruszki-matki, jeszcze ostatnią nadzieją przy życiu podtrzymywać się będą — nadzieją, że jednak wróćcie... I nie będą wierzyć, że dawno już poszarpały wasze ciała kruki i wrony, a bielejące kości przyorał już pług chłopa, co uprawia swoje pola... —

Rozległy się za mną jakieś kroki — odwróciłem głowę.



Ach ! i on tutaj — ten stary kapral ułanów. I nagle powstał mi jak żywy, już zapomniany mój sen nocny. Sen o skrwawionej jego chuście u dwóch wojsk z sobą walczących.

— Sprawdził się sen koszmarny — myślałem, przy-  
mykając oczy.

Tymczasem starzec stanął koło mnie wsparty na kiju, lecz zdawał się mnie nie widzieć, czy nie chcieć widzieć.

Chwilę patrzył na pole. Potem pomarszczoną spracowaną ręką zdjął z głowy wypłowiały kapelusz i przeżegnał się.

Starcza, połyskująca w słońcu bezwłosa czaszka w pobożnem skupieniu pochyliła się na piersi. Głębokie westchnienie wyrwało się z tej piersi zapadłej, a do uszu mych doleciały oderwane wyrazy :

Tym co za Polskę... naszym nieszczęsnym żołnierzom... i tamtym naszym... dawno poległym — daj Boże wieczne odpocznienie...

Bezwiednie zdjąłem z głowy czapkę.

Ale nie modlitwą poruszyły mi się usta, jak u tamtego starca.

Skądś z odległych zakątków pamięci powstawać zaczęły dawno, jeszcze w początkach wojny przeczytane słowa poety, który przeczuł to, co dziś się tu spełniło, który w duszy swej przeżył cały tragizm dzisiejszego żołnierza polskiego...

I zdawało mi się, że na słowa modlitwy starca, polegli polscy legjoniści odpowiadają szmerem wiatru co płynął od ich łąki-cmentarza :

Rozdzielił nas, mój bracie,  
Zły los i trzyma straż...  
W dwóch wrogich sobie szanłcach  
Patrzemy śmierci w twarz...

» W dwóch wrogich sobie szańcach » — zdają się powtarzać białe płaczące brzozy poszumem swych liści.

Ale nie wypuszcza z rąk karabinu żołnierz-Polak z przeciwnego szanca, nie pozwala by jakikolwiek sentyment hart jego żołnierski skruszył.

Bo czuje ten żołnierz, że nie pójdzie na marne ta ofiara krwi bratniej, którą składają oni obaj w imię jednej wielkiej idei, przeczuwa on :

« że ta, co nie zginęła  
wyrośnie z naszej krwi »

Szumi cicho wiatr po łące, płynie ku mnie i ku temu starcowi pochylonemu w kornej modlitwie i unosi ku niebiosom jego westchnienia, może jedno z ostatnich westchnień przed blizką już śmiercią.

— I tym, co Jej tu nie doczekają daj Boże, Polskę w niebie.

---



Edward SŁOŃSKI

Utworki poety Edwarda Słońskiego na temat wojny obecnej stały się w Polsce całej bardzo popularne. Zawdzięczają to swej prostocie, rzewnemu sentymentowi, a zarazem myśli głębszej, jaką zawierają. Najwięcej znanym jest utwór « Ta, co nie zginęła ».

## Rozdzielił nas, mój bracie...

### I

Rozdzielił nas mój bracie  
Zły los i trzyma straż —  
W dwóch wrogich sobie szańcach  
Patrzemy śmierci w twarz.  
W okopach pełnych jęku.  
Wysłuchani w armat huk,  
Stoimy nawprost siebie —  
Ja — wróg twój; ty — mój wróg.  
Las płacze, ziemia płacze,  
Świat cały w ogniu drży...  
W dwóch wrogich sobie szańcach  
Stoimy — ja i ty!

II

Zaledwie wczesnym rankiem  
Armaty zacząć grać,  
Ty świstem kul morderczych  
O sobie dajesz znać.  
Na nasze niskie szańce  
Szrapnelów rzucasz grad.  
I wołasz mnie i mówisz :  
« To ja, twój brat... twój brat! »  
Las płacze, ziemia płacze,  
W pożarach stoi świat —  
A ty wciąż mówisz do mnie :  
— To ja, twój brat... twój brat!

III

O nie myśl o mnie, bracie.  
W śmiertelny idąc bój,  
I w ogniu moich strzałów  
Jak rycerz mężnie stój,  
A gdy mnie zdala ujrzysz,  
Odrazu bierz na cel,  
I do polskiego serca  
Niemiecką kulą strzel.  
Bo wciąż na jawie widzę,  
I co noc mi się śni.  
*Że ta, co nie zginęła,*  
Wyrośnie z naszej krwi!

Listopad, 1914.







## SPIS RZECZY

---

|  |    |
|--|----|
| 1. Polski rok polityczny 1918. . . . .   | 3  |
| 2. Psalm dobrej woli (wyjątki) . . . . . | 19 |
| 3. Noc 29 listopada . . . . .            | 23 |
| 4. Anelli (zakończenie) . . . . .        | 35 |
| 5. Spotkanie. . . . .                    | 39 |
| 6. Rozdzielił nas, mój bracie. . . . .   | 60 |



---

---

IMP. M. FLINIKOWSKI,  
216, BOUL. RASPAIL,  
— PARIS - 14<sup>e</sup> —

---

---



